



WIECZORY RODZINNE



(Z rysunku A. Grotgera).

MAŁA MUZYKANTKA.

Pierwsza robota panny Klementyny. *)

Nim Klementyna z Tańskich Hofmanowa wślawiła się jako autorka, była sobie najpierw małą Klimunią, potem pannienką Klimcią, aż wreszcie została panną Klementyną i zaczęła pisać pełne prostoty i szlachetnych myśli książki, które dotąd z wielkiem zajęciem i pożytkiem przez wszystkich są czytane. Dziecięce swe lata spędziła w Izdebnie, w domu zacnej matrony Anieli ze Świdzińskich Szymanowskiej. Wychowaniem Klimuni zajęła się panna Dorota, córka pani Szymanowskiej. Dom był pański, Klimuni więc na niczem nie zbywało; uczono ją, ale uczono tylko po francusku, bo wtedy taka była moda, a książek polskich dla dzieci nikt prawie nie pisał. Klimunia więc modliła się nawet po francusku, o robotach zaś kobiecych to już najmniejszego wyobrażenia nie miała.

Tak przeżyła do szesnastego roku życia. W tym czasie t. j. 1814 r. umarł jej ojciec w Puławach, gdzie jako sekretarz przy bibliotece księcia Czartoryskiego, wraz z resztą rodziny przemieszkował. Pani Tańska po śmierci męża wyjechała do Warszawy i zabrała Klimcię do siebie.

Ale jakże różne było życie w domu matki od tego, jakie Klimcia w Izdebnie u swej opiekunki prowadziła!

Tam był dwór obszerny, dużo służby, tutaj matka mając bardzo małe fundusze, najęła trzy maleńkie pokoiki, trzymała tylko jedną służącą.

W Izdebnie Klimcia cały czas poświęcała nauce lub zabawie, tutaj trzeba było zająć się gospodarstwem, porządkiem domowym lub szyciem.

Ach, to szycie przysparzało nie mało kłopotu pannie Klementynie, lecz choć nieraz palce do krwi pokłuła, szyla jednakże.

Raz z domowych oszczędności kupiła dla matki ciemnozielonego merynosu na kaftan, ale na uszycie nie starczyło jej już pieniędzy.

— Eh, uszyję go sama — pomyślała sobie. — Ale kto mi go skroi? — dodała.

Lecz i w tem sobie poradziła.

Poszła do krawca, który za lepszych czasów szyl im sukienki i poprosiła o skrojenie kaftana.

— Teraz dam sobie już radę! — zawołała, — rozkładając robotę. I zabrała się do szycia.

Późno w noc siedziała nieraz, aby tylko kaftanik na imieniny matki wykończyć. Nareszcie w wigilię imienin kaftan był uszyty, a panna Klementyna z biciem serca spać się położyła.

Rano, gdy w najserdeczniejszych wyrazach wraz z młodszą siostrą wypowiedziała matce życzenia, złożyła również i ów kaftan, mówiąc:

— Przyjm, kochana mamo, to ja sama uszyłam!

I zarumieniła się z wewnętrznego zadowolenia.

Matka, uszczęśliwiona nie tyle z podarku ile z pracowitości córki, chce włożyć kaftan, niestety, jeden rękaw jest tak dziwnego kroju, iż żadnym sposobem wdziąć go nie może, plecy zaś mają kształt wygięty, jak gdyby garb miał się w nie schować.

Fannie Klementynie lzy stanęły w oczach.

— Tyle kosztu, tyle pracy i wszystko na nic! A co najgorszej wstyd, że uszyć nie umiem! — zawołała z nieudanym smutkiem.

I zaczęła się swojej robocie przypatrywać.

I cóż się okazało?

*) W N-rze 27 m. Wieczorów zamieszczony był wizerunek i życiorys Klementyny z Tańskich Hofmanowej, urodzonej 23-go listopada 1798 roku. Obecnie podajemy miłe wspomnienie z jej młodości.

Oto plecy wszyła zamiast rękawa, rękaw zaś umieściła w miejsce pleców.

Zobaczywszy pomyłkę, popruła kaftan i póty nad nim pracowała, póki nie zszyła go zupełnie dokładnie.

Pomyłka ta jednak dała jej dużo do myślenia i stała się myślą przewodnią w późniejszych pracach literackich.

Wzięła sobie bowiem za cel, ażeby młode swe czytelniczki nakłaniać nie tylko do nauki lecz i do robót kobiecych, oraz do zajęcia się domem i gospodarstwem. To też we wszystkich prawie swych pracach, począwszy od „Wiązania Helenki,” kładzie ogromny nacisk na umiejętność szycia. W „Pamiętce po dobrej matce” i „Krystynie” wskazuje, iż nauka nie powinna przeszkadzać do zajęcia się najpospolitszymi nawet robotami kobiecymi, owszem, dopomóż do lepszego ich zrozumienia i wykonania.

Często też wśród poufnej gawędy powtarzała: „Nie umiałam uszyć kaftana i najadłam się wstydu, niechże inne od tego wstydu się uchronią.”

Z. Morawska.

O NIECENIU OGNI.

W warszawskim Muzeum przemysłu odbywają się, jak i w roku zeszłym o tej porze, ciekawe odczyty popularne z dziedziny nauk przyrodniczych. Tej jesieni przedmiotem tych odczytów jest światło i ciepło, a głównie źródło i sposób ich otrzymywania. Mówili już profesorowie: S. Kramsztyk o słońcu, prof. B. Znatowicz o węglu i nafcie i prof. Milicer o nieceniu ognia. Niektóre wyjątki tego ostatniego odczytu zamieszczamy, aby dziś w wieku zapalek, kiedy niecenie ognia nie sprawia żadnej trudności, uprzytomnić sobie, jak powoli szedł postęp w tym kierunku i jak przed kilkudziesięciu jeszcze laty należało szanować raz zapalony ogień, bo utrzymanie jego połączone było z mniejszym lub większym wysiłkiem i stratą czasu.

Pierwszym żywym ogniem, jaki się ukazał oczom człowieka, był niewątpliwie pożar od piorunu, lub wulkan, wyrzucający deszcz iskier.

W wiekach już bardzo zamierzchłych nauczono się niecić ogień dowolnie. Świadczą o tem stopy węgla domowego, napotykanne przy wykopywaniu szczątków życia ludzkiego bardzo odległych epok. Ogień niecono za pomocą mechanicznego tarcia dwóch przedmiotów o siebie.

Prelegent pokazał drewniany przyrząd, znajdujący się w zbiorach etnograficznych Muzeum, a używany jeszcze obecnie przez włościan olkuskich. Od tarcia w panewkach kręcącego się drewnianego cylindra powstają iskry, zapalające suchy kawałek lnu.

W czasach, gdy człowiek zdobył sobie środki do ciosania kamieni, mógł rozporządzać krzemieniem. Ciało miękkiejsze, uderzane o kamień, rozpryskuje się na powierzchni w drobne cząsteczki, które rozpalone w skutek uderzenia, dają iskry. Nałożmy obok wiorów, albo suchego mechu, a ogień gotowy.

Takim sposobem niecenie ognia ludzkość posługiwała się przez tysiące lat. W życiu codziennem przetrwał on do 1809 roku, w zastosowaniu do broni palnej do r. 1850-go. Broń pistonowa liczy dopiero niecałe pięćdziesiąt lat istnienia. Dawniej w strzelbach skałkowych iskra, proch zapala jąca, powstawała od uderzenia krzemienia w stal.

W r. 1809-ym zjawily się po raz pierwszy zapalaki. Każda zapalka, czy dawna antymonowa, czy siarkowa, czy najnowsza szwedzka, składa się zawsze i wszędzie z czterech części:

a) z ciała zapalającego, którem może być siarka lub fosfor;

b) z materji wybuchającej — zazwyczaj soli Bertoleta czyli chloranu potasu wraz z innymi domieszkami;

e) z ciała, szybko chwyającego płomień, jak wosk lub parafina.

d) z drzewa olszowego, zamazanego w tej parafinie.

Pierwsze zapalki, jakie wyrabiać zaczęto, składały się z drewnianego głowca stopionej z chloranu potasu i cukru. Ludzie nosili w kieszeni flaszki z papierkami amiantowemi, namoczonymi w kwasie siarczanym; przy potarciu o nie zapalki wybuchał płomień.

Ale wiek XIX zbyt lubi wygodę, aby mógł być poprzestać na tak niedogodnych, a przecież niezbędnych przedmiotach codziennego użytku. Siarka? rzecz bardzo nieprzyjemna, Fosfor? ten znacznie lepszy, bo zapala się równie łatwo, a dym wydaje bezwonny. W użycie weszły zapalki fosforowe.

Lecz biały, nawpół przezroczysty fosfor, wyrabiany z kości, ciało łatwo topliwe, dymiące na powietrzu, a w ciemności świecące niebieskawym ogniem, jest jedną z największych trucizn. Robotnicy, pracujący wśród dymów fosforowych, zapadają na ciężką chorobę. Z drugiej zaś strony niebezpiecznym było nosić w kieszeni zapalki, napojone trucizną i zapalające się za łada uderzeniem.

W r. 1845-ym, Schreter, z białego, trującego fosforu za pomocą silnego ogrzewania bez dostępu powietrza otrzymał inny fosfor, ciało czerwone, trudno zapalne, nieświecące i nieszkodliwe.

Od tego czasu zaczęto wyrabiać powszechnie używane obecnie zapalki szwedzkie. W zapalce tej fosforu nie ma wcale. Jest on tylko na powierzchni pudelka, napojonej mieszaniną z czerwonego fosforu, wody i gumy. Przy potarciu, czerwony fosfor, ogrzawszy się, przechodzi w biały, płonie, wydziela tlen z chlorem potasu, który zapala parafinę. Z parafiny płomień przechodzi na drzewo.

Przedstawiał on typ prawdziwego marynarza: niezbyt wysoki, barczysty, muskularny, ubrany był w płaszcz szeroki, pod którym miał krótką kurtkę, w czapkę ze skóry cielęcina morskiego i buty z wysokimi cholewami. Wszedłszy po drabinie na pokład, ze zdumieniem przyglądał się niezwykłym urządzeniom „Latającej Ryby”. Uściskiem rąk powitał przybyłego i wysłuchawszy gorących jego podziękowań, czterej podróżni zaprosili gościa do dolnych kajut, aby pokrzepić się i ogrzać szklanką ciepłego grogu. Kapitan nic nie wiedział o tem, że „Latająca Ryba” może latać w powietrzu i pływać pod wodą, ale i bez tego, łatwo sobie wyobrazić, jak go zdumiewało całe urządzenie, jak zachwycały wspaniałe salony i oświetlenie elektryczne.

Najwięcej jednak zadziwiła go wiadomość, że czterej panowie, którzy mu tak wielką wyświadczyli przysługę i podejmowali go tak gościnnie, łącznie z lokajem i kucharzem stanowili całą załogę wielkiego okrętu, i że dla przyjemności tylko przedsiębrali wyprawę w zimne okolice podbiegunowej strefy.

— Słusznie mówi przysłowie, że gusta ludzi się różnią — dowodził przybyły żeglarz. — Wprawdzie ja odwiedzam te strony dla połowu wielorybów od 25 lat, ale czynię to z konieczności, nie zaś z upodobania. Po dwóch lub trzech latach tego uciążliwego zajęcia, gdy przestało mieć dla mnie powab nowości, miałem jedno tylko wyłącznie pragnienie: zebrać dużo pieniędzy, aby móc się wycofać z tego ciężkiego trybu życia. Przechodziłem kolejno wszystkie stopnie służby: byłem chłopcem okrętowym, majtkiem pierwszego, drugiego, trzeciego rzędu, sternikiem, kapitanem, wreszcie zostałem właścicielem statku, dążąc niezmiennie do wytkniętego celu. Kiedy przed rokiem użyłem wszystkich moich długoletnich oszczędności na kupno tego starego „Walrusa,” sądziłem, że pragnienie moje bliskim jest urzeczywistnienia, że jedna, ostatnia wyprawa na północ da mi możność spędzenia reszty dni życia w spokoju, obok żony i małej mojej córeczki. Niech Bóg błogosławi tę dziecinę! Dziś właśnie rocznica jej urodzin; skończyła pięć lat.

— To zapewne dla uczczenia tej rocznicy — przerwał Mildmay — przybrałeś pan statek swój we flagi, których znaczenia nie umieliśmy sobie wyłomaczyć.

— A tak — potwierdził zagadniony. — To na urodziny mojej małej Florki przystroiłem dziś rano statek i nie zdjąłem chorągiewek nawet w chwili, gdy gwałtowny napór lodów groził nam śmiercią. Pomyślałem sobie, że jeśli taka wola Boska, zatoniemy razem z flagami poświęconemi pamięci Florki.

— A czy opłaciło ci się kupno statku? czy zebrałeś pan plon obfity w ciągu tej wyprawy? — zapytał baronet.

— Niestety! nie powiodło nam się w tym roku — objął kapitan. — Przez ostatnie dwanaście miesięcy zabiliśmy tylko trzy wieloryby, spędziwszy całą zimę wśród lodów. Jeden z moich przyjaciół, obrawszy w przeszłym roku tę samą drogę, trafił na łagodniejszą zimę, dosięgnął do zatoki Baffina, a w ciągu kilku miesięcy wyładował cały statek tranem i fiszbinem wielorybim. Znalazł miejsce nie nawiedzane przez poławiaczy, a że to jak wspomniałem, mój przyjaciel, udzielił mi w tajemnicy wiadomości pod jakim stopniem owo miejsce się znajduje; chciałem tam dotrzeć, ale lody i wiatr przeciwny powstrzymały mnie w drodze. Gdybym teraz jeszcze mógł tam dopłynąć, nagrodziłbym sobie poniesione straty. Niestety! nie mam na to środków i ludzie moi niechętni niepowodzeniom.

— Bądź dobrej myśli, kapitanie — zawołał baronet — wyprawa twoja przybrać jeszcze może obrót pomyślny. Przez wzgląd na małą Florę, statek twój przeciągniemy wśród lodów i dowieziemy cię do upragnionego celu. Nie traćmy tylko czasu; ty wracaj do siebie i pilnuj dobrze liny. A posadź także któregoś z majtków na bocianiem gnieździe, niech upatruje najdogodniejszej dla nas drogi po kanale. O 7-jej wieczorem zapraszamy cię na obiad, wypijemy za zdrowie małej twojej solenizantki!

W OBŁOKACH I POD WODĄ

WYPRAWY „LATAJĄCEJ RYBY.”

opisał H. C.

(Ciąg dalszy).

Nagle rozległ się huk straszliwy; profesor i jego towarzysze spodziewali się ujrzeć jedynie szczątki rozbitego statku. Łoskot ogłuszający, niby grzmot potężny odbił się kilkakrotnie złowrogim echem. Szcześnie, było to tylko zetknięcie się pochyłonych naprzód wierzchołków, które spowodowało chwilowe rozsuniecie się samych lodowców; rozstały się one gwałtownie a baronet korzystając z tego, szybkim ruchem pociągnął statek naprzód, wyzwalaając go z uścisków lodowych, zanim dwie olbrzymie góry powracając ku sobie, uderzyły się wzajem i zwały jedna na drugą.

Dopiero gdy statek odpłynął na jakie sześćdziesiąt sążni, załoga jego zrozumiała, że wyratowano ją od niechybnej zguby, a z piersi żeglarzy wzniosła się modlitwa dziękczynna do Boga.

Prawdziwie Opatrzności tylko przypisać mogli swoje ocalenie, gdyż jedynie chwilowy ruch wsteczny lodowców, będący następstwem silnego uderzenia wierzchołków, uchronił ich od zagłady.

Skoro tylko statek przepłynął szczęśliwie złowrogi przesmyk, „Latająca Ryba” zwolniła biegu. Znajdowali się już jakby na otwartym morzu, niewielkie bowiem tylko bryły lodowe pływały gdzieś po wodzie, a kanał w tem miejscu miał około trzech mil szerokości. Nareszcie można było zatrzymać się bezpiecznie.

Właściciel uratowanego statku, pragnąc osobiście podziękować wybawcom swoim za ich skuteczną pomoc, wsiadłszy na małą łódkę, przyplłynął do okrętu.

Kapitan powrócił na „Walrusa” w stanie radosnego upojenia, nie przeszkadzało mu to jednak zająć się przygotowaniami do dalszej podróży, a spełniwszy zlecenia baroneta, sam stanął na bocianiem gnieździe, skąd dał znak „Latającej Rybie” do wyruszenia w drogę.

X.

Półow wielorybów. — Lodowce Humboldta.

Oba statki, płynące czas jakiś swobodnie po morzu, po przebyciu siedmiu mil napotkały znowu góry lodowe, rozdzielone kanałem, po którym posuwały się z szybkością szesnastru węzłów na godzinę.

Niezwykły w istocie przedstawiały widok: jeden osobliwej budowy, z flagą floty jej królewskiej mości, której sir Reginald był członkiem, drugi zwyczajny ale przystrojony w różnokolorowe chorągiewki na cześć małej Florki. Oba płynęły po ciemnych wodach podbiegunowego morza, wśród



Kelej balonowa (str. 368).

piętrzących się lodowców pod posepnem i zasnutem chmurami niebem. Kanał wąski i kręty zrazu, rozszerzał się stopniowo, tworząc dogodniejszy dla podróżnych szlak drogi, jednocześnie gwałtowny wiatr przycichł, słońce wyjrzało z poza chmur, a wieczorem około 9-ej, gdy ojciec Florki dał żółtą łodzią na obiad do „Latającej Ryby”, niebo wypogodziło się zupełnie, lekki wietrzyk powiał od wschodu i promienie zachodzącego słońca oświecały szczyty śnieżystych wzgórz na widniejącej w dali wyspie Devon. W niespełna godzinę później dwa okręty zarzuciły kotwicę w wygodnej przystani „Hyde Bay,” aby zmęczona załoga wielorybiego statku mogła użyć zasłużonego wypoczynku

Właściciel „Walrusa” prostych obyczajów marynarz, nazwiskiem Hudson, zasiadłszy do stołu z czterema wykształconymi panami, czuł się w pierwszej chwili onieśmielonym w ich towarzystwie, wkrótce jednak pod wpływem miłego ich obejścia, ożywionej rozmowy i dobrego wina, odzyskał dobry humor i okazał się przyjemnym współbiedniakiem. Znając dobrze te okolice, udzielał im pożytecznych wskazówek, nie uprzedzony jednak o tem, że „Latająca Ryba” może szybować w powietrzu, wyśmiewał ich zamiar dotarcia do bieguna północnego i uznawał go za niewykonalny.

Pod koniec obiadu wniesiono zdrowie nieświadomej tej owacy małej Florki, uraczono gościa wyborną muzyką, obdarzono go ostatnimi, zabranymi z Anglii czasopismami i Hudson. uradowany z takiego przyjęcia, około północy powrócił do siebie.

Nazajutrz, gdy podróżni nasi o 8-ej rano zgromadzili się przy śniadaniu, wszedł niespodzianie, wprowadzony przez Jerzego kapitan, który w wielkiego pospiechu, nie mogąc tchu złapać, oświadczył, że przybył ponowić dziękczynienia za oddaną mu przysługę w dniu poprzednim, a jednocześnie chciał pożegnać się z panami, musząc zaraz odplłynąć w pogoni za liczną gromadą wielorybów, dostrzeżonych w odległości kilku mil angielskich, Podano sobie wzajemnie dłonie z życzeniami pomyślności i nastąpiło rozstanie.

W godzinę później sir Reginald i jego towarzysze, ciekawi zobaczyć półow wielorybów, podążyli za „Walrusem,” który niebawem spuścił na wodę trzy łodzie z ludźmi, wesoło gonącymi za zdobyczą. Niewinne ofiary, w liczbie około czterdziestu, nie domyślając się groźącego im niebezpieczeństwa, swobodnie igrały w wodzie opodal.

(d. c. n.)

Marya Łopuszańska.

OBRONCY BOGÓW

Powieść na tle dawnych legend.

(Dalszy ciąg)

Odchodzi Żywie, potężny żywiciel, co tchem swoim utrzymuje wszystko, co żyje; bo sam Żywie, czyż to nie znaczy Żywot? Gdyby nie Żywie, nicby nie rozmnażało się na świecie, nie rosło, nie kwitło; a woda żywiąca, to ulubiony żywioł jego.

A Nya, ponura, groźna Nya, bogini śmierci i zniszczenia, która kocha się w ogniu i lubi krwawe ofiary, potężna i wielka; wyrokom jej nic i nikt się nie oprze, zarówno książę jak i niewolnik. Ale wpływ jej jest zarazem dobroczynnym, bo czyż ogień nie oczyszcza, nie ogrzewa i czyż świat nie potrzebuje odnowienia od czasu do czasu?

I to wszystko teraz znika, wszystko, co od wieków czcili nasi ojcowie! Więc porzucacie nas, bogi wielkie!...

Mówiąc to, starzec pochylił się, jakby się wsłuchiwał; — w owej ciszy słychać było senny szum puszczy, ale jemu się zdawało, że to rozlega się daleka pieśń jakaś poważna, że to bogi przemawiają doń swym głosem. I znów począł mówić po chwilowej przerwie:

— Lecz nim odejdziecie, spełnijcie mą prośbę — błagam was teraz o śmierć, nie o życie, o śmierć godną kapłana, Swist-Pośwista.

Niedługo poczęli się zjeżdżać mężowie, uczestniczący zazwyczaj w nocnych obradach; po jednym, po dwóch, przybywali białowłosi starcy, i milcząc, zasiadali na kamieniach, w kole obradnym; jak gdyby owe duchy ojców, o których wspominał kapłan Borun, powstały z mogił i przybywały stanąć w obronie starej wiary.

Brakło tylko knezia Mszczuja i jego brata.

Masław zjawił się prawie na końcu, chmurny i niezadowolony, bo nic nie szło, tak jak sobie ułożył; przeciw tej sile, która mu pomagała, czuł działanie jakiejś innej siły, stopniowo biorącej górę; — to go robiło wściekłym, bo musiał uznać, że jest coś silniejszego nad wolę pojedynczego człowieka, choćby wola ta była żelazną.

Stary kapłan zbliżył się doń natychmiast.

— Mój synu — rzekł, poprzysiągłeś, że nie zezwolisz, by czarni księża zbudowali kościół na górze, a jednak w czasie twej nieobecności zaczęto go stawiać, i budowa jego posuwa się z dniem każdym. Masław nie nie odpowiedział. Zbliżywszy się na środek koła, stanął i począł mówić — mowa jego była krótka i ucinkowa:

— Czarni księża zaczęli stawiać kościół na górze, pomimo że chcieliśmy im w tem przeszkodzić; nie możemy pozwolić na to. Rozłożyli się na górze; otoczmy ich tam, jako zwierza w legowisku, — zabijemy księży i zburzymy to, co zrobili!

— Lecz oni mają zbrojnych, ozwał się jeden ze starców.

— Cóż stąd? odparł Masław, coż oni pomogą, gdy obstąpimy ich zewsząd i głodem zmusimy do poddania się? Pomocy przecie znikąd spodziewać się nie mogą. Zgromadzić trzeba wszystkie siły nasze tutaj, a wówczas postawimy im stopę na głowie.

I dodał z dzikim uśmiechem:

— Nie pierwszy to już raz krew księży popłynie w tem miejscu; wszak siedniu ich zabito tutaj za Mieszka...

Nazajutrz przypadło święto Kupały. Jeszcze w dzień Sławko zauważył gromady ludu, ściągające zewsząd i rozkładające się u stóp góry. Był tem bardzo zaniepokojony i przyglądał się im z uwagą, lecz o ile mógł dostrzedz, nie zdawali się mieć złych zamiarów.

Nie uspokoiło go to jednak; wiedział, że w noc kupałną, pogan mógł opanować nagle szal i mogą się rzucić na nich, a wówczas kto im się oprze, gdy będą w tak wielkiej liczbie?

Zaledwie zmrok zapadł, w puszczy zapłonęło tysiące ognisk, błyszczących krwawo w ciemności, i z góry las wyglądał tak, jakby nań wszystkie gwiazdy nieboskłonu pospadały. Słychać było śpiewy; dokoła ognia poruszały się czarne zarysy postaci pływających, a niekiedy dzikie okrzyki rozlegały się w puszczy z mimowolną trwogą przejmowały tych, co czuwali na górze. Cała noc tak przeszła, lecz gdy błąd świt zajaśniał nad wierzchołkami drzew i rozproszył cienie nocne, chrześcijanie ujrzeli się ze wszech stron otoczeni przez gromady ludzi, dziko wyglądających, odzianych w skóry, uzbrojonych w maczugi nabijane krzemieniem, w kamienne topory i łuki. Pozajmowali oni wszystkie wąwozy, wszystkie załomy skał, inni rozłożyli się na skłonach góry i widać było, że nie myślą wcale ztamtąd tak prędko ustąpić.

Sławko, gdy to ujrzął, pokiwał głową.

— Hm, przewidywałem, że te przeklęte lotry coś zamysłają — mruknął. Pięknie teraz wyglądamy, niby niedziedz w ostępie; i niema sposobu dać znać Dobrogostowi, w jakim jesteśmy położeniu, oni nikogo teraz nie przepuszczą.

XV

Masław powziął postanowienie udania się jeszcze raz do pieczary na górze Chełmowej, mniemał bowiem, że siła ciemności zbyt opieszale mu pomaga, kiedy daje się tak łatwo zwalczać innej sile, tej sile światła, której potęgę uznać nie chciał i nie wierzył w nią, bo zbyt łagodnie działała.

Oburzony był na Rokitkę, uważał się za oszukanego; obiecano mu pomoc, i gdzież ona teraz? Wszystko usuwa mu się z rąk, czarni księża tryumfują. Zamiarem jego nieodwołalnym było teraz, wejść w układy nie ze sługą już, a z samym panem, a jeśli trzeba będzie, to i siłą wymórz ukazanie się potężnego ducha ciemności.

Nie krył przed sobą trudności i przeszkód tego przedsięwzięcia, wspominał groźby Rokitki, lecz to go nie wstrzymywało, gotów był na wszystko, byle tylko otrzymać wymarzoną potęgę.

Wziąwszy więc z sobą pacholka, sławnego z siły i olbrzymiego wzrostu, zwanego Wyrwidąb, wybrał się w drogę od samego rana. Dzień był nadzwyczaj upalny, nawet w puszczy, pod cieniem drzew, gorąco zapierało oddech. Oddawna już deszczu nie było, na otwartych miejscach rośliny

ny zaczynały już wędnąć z braku wilgoci, a dziś szczególniej upał czuć się dawał i ciężar jakiś przytłaczał wszystko ku ziemi.

Wirwidąb co chwila ocierał spocone czoło i przeklinał gorąco. Był to wspaniały olbrzym; ramiona silne, barki szerokie, na których osadzona głowa, o grubym karku, nie wzniosła się nad spokojny wyraz zwierzęcej siły. Obrośnięty był jak żubr, a z pod tego zarostu i włosów kudłatych, spadających na niskie czoło, widać było oczy małe i spokojne, ożywiające się chyba w walce. Szczęściem, pomimo swej nadludzkiej siły, był łagodnym, powolnym i rzadko się gniewał. Zwano go także Obrem, bo istniało podanie, iż ród Wyrwidębów pochodził od tego zaginionego plemienia, o którym mówiono, że z samych składało się olbrzymów; Masławowi był ślepo posłusznym; zdawało się, że niema w nim własnej woli, lecz rządzi nim rozum i wola jego pana.

Upał coraz więcej się wzmagał; żaden powiew wiatru nie poruszał drzew, w głębi puszczy duszno było jak w piecu. Ptactwo skryło się gdzieś w gęstwinę, konie robiły silnie bokami.

— To-ci pali — mówił Wyrwidąb, który wciąż oblewał się potem — pójdę poszukać źródła, bo już człek nie wytrwa dłużej w tej spiekocie...

— A gdzież go tu znajdziesz? — spytał Masław. — Wszystkie źródła powysychały...

— Ot, poczekajcie ino — odrzekł Wyrwidąb, a położywszy się, przytknął ucho do ziemi. — Jest! — zawołał — jest źródło tublisko, w gęstwinie.

Pokrzepiwszy się Masław i Wyrwidąb ruszyli dalej. Po niejakiem czasie olbrzym podniósł głowę i począł nasłuchiwać z uwagą.

— Idzie Borun rzekł głosem stanowczym.

— Co ci przyszło do głowy, odparł Masław, niebo prawie czyste...

— Słuchajcie, rzekł Wirwidąb za całą odpowiedź.

Masław nastawił ucha. W górze słychać było jakiś dziwny szmer, ni to szum liści, ni to szelest igieł jodłowych. Podniósł głowę: po nad nimi wznosiły się miliony pszczół, os i trzmieli.

— To roje tak spieszą do dziupli, przed burzą — rzekł Wyrwidąb. — Oj, widzą one dobrze na co się zanoszą.

W tej chwili lekko zagrzmiąło.

— Trzeba szukać schronienia, ciągnął dalej olbrzym, bo źle będzie w puszczy, gdy potoki przybiorą. Znam ja tu jedną chałupę na Zielonej polanie, nieraz tam nocowałem gdy się przypóźnił w borze, tam się schronimy...

I zawrócił w boczną ścieżynę, za nim Masław.

Po niebie tymczasem posuwało się szybko mała chmurka szara, centkowna biała, z posępnemi brzegami. Cisza jeszcze większa zalegała las cały, żaden listek nie drgnął.

Nagle Wyrwidąb wskazał ręką na zachód.

— Słyszycie? szepnął. On już idzie!

— Kto? spytał Masław.

— Świst-Poświst! — rzekł olbrzym, a w głosie jego dzwijała trwoga. — Prędzej zacinajcie konia, póki nas nie doścignął. W istocie jakiś szum, podobny do huku fal wzburzonych, dochodził gdzieś zdala. Masław rozumiał, że to huragan się zbliża, zaczął więc konia który pędził, co mógł wyśkoczyć; Wyrwidąb zrobił to samo.

Gdy wyjechali na skaliste, odkryte nieco wzgórze, obejrzał się i spostrzegł, że dalekie drzewa, na krańcach puszczy, pochylają się jak kłosa ku ziemi; tutaj jednak nie było jeszcze czuć najmniejszego powiewu i liście osiny nawet stały nieruchome. Szum jednak coraz się przybliżał; ot, jest już za tym ostatkiem rzędem drzew, już dochodzi tutaj, listki najbliższych lip zaczynają szeleścić, i nagle tuman suchych liści, igieł sosnowych, pyłu i nasion leśnych uderzył na jeźdźców i o mało nie zrzucił ich ze wzgórze. Konie strwożone skoczyły w bok. Przez ten czas biały słupek rozwinał się we wstęgę wspaniałą, która olbrzymim łukiem przecięła fioletowe niebiosa. Wszystkie wichry zerwały się naraz z uwięzi; puszcza nie szumiła już lecz ryczała; stuletnie drzewa

gięły się niemal do ziemi, tumany kurzu oslepiały. Jeźdźcy pędzili jak wiatr, brzuchy końskie dotykały ziemi, lecz burza także pędziła. Byli już na Zielonej polanie; na drugim jej końcu wznosiła się uboga chata, zbita z prostych bierwion, pokryta dachem słonianym. Nędzne to było schronienie na taką burzę, lecz lepsze niż żadne.

Gdy stanęli na polanie, już biała wstęga zamieniła się w ogromny lej, którego koniec zaostroszony zdawał się ziemi dotykać. Szedł on groźny, potężny po nad lasy, wirując nadzwyczaj szybko na swej osi, lecz za każdym razem, gdy miał już dosięgać ziemi, wiatr chwytał go, zwijając jakby na kołowrocie. Rzekłbyś, że to olbrzym jakiś wyprawia sobie igraszkę, lub, że bóg Świst Poświst poszedł w zapasy z bogiem Lel-Polel. Z szerszego końca owego lejku co chwila wychodziły błyskawice, a gdy jeźdźcy byli już w połowie polany, nagle łoskot pierwszego piorunu rozległ się nad ich głowami, a blask jego oslepił ich prawie. Zapach siarki rozszedł się dokoła.

— Prędej, prędzej, bo zginiemy! — wołał Wyrwidąb, lecz ryk burzy zagłuszył jego słowa.

Wreszcie dopadli chaty, a wprowadziwszy konie do szopyki zatrzasnęli drzwi za sobą, w chwili właśnie, gdy pierwsze, ogromne krople deszczu spadły im na twarz.

Co się dalej działo nie wiedzieli już, huk piorunów, łoskot upadających drzew, szum wody, wszystko zmieszano się razem. Lejek dotknął wreszcie ziemi, a za tem dotknięciem potoki wody puściły się z niebios; woda wprost urywała się z chmur i rzucała w dół wodospadem.

Z godzinę trwała ulewa i łoskot gromów rozlegał się nad puszcza, lecz w końcu zaczęło się uspokajać, burza poszła dalej, tylko zdała dochodził szum wezbranych potoków.

Masław i Wyrwidąb otworzyli drzwi i stanęli w progu; cała polanka zamieniła się w jedno jezioro; dokoła leżały stopy drzew połamanych, postrzaskanych; gdzieniegdzie wznosiły się wały nagromadzonych gałęzi.

Olbrzymi pacholek zabrał się do wyczerpywania wody z chaty, podczas gdy pan jego stał w progu i patrzył posępnie na otaczające zniszczenie, które zdawało się budzić w nim jakieś nowe a tajemnicze myśli.

* * *

Gdy burza się zbliżała, kapłan Borun znajdował się w urządzonym w skałach schronieniu, które miał na górze Łysej. Na pierwszy odgłos gromów, jakby się ocknąwszy nagle z odętwienia, wyszedł z tamtąd, patrząc z wyżyny na idący huragan.

— O ty, potężny! zawołał kapłan, wyciągając ręce ponad szumiącemi u stóp jego lasami, ty władco burz i piorunów, zbliżasz się, więc dajesz poczuć swą moc niepokonaną?

A może przychodzisz po mnie, twojego kapłana, by umieścić mnie w twe państwo nadziemskie? O przyjdź, przyjdź, moja dusza pragnęła cię oddawna, ty dobroczynna, potężna burzo! Przyjdź, weź mnie w swe płomienne objęcia, niech w nich zginę!

W tej chwili grom zahuczał nad szczytami gór.

— Wołasz mnie? zawołał kapłan. Idę już, idę!

Koń jego stał niedaleko, uwiązany do drzewa; poszedł ku niemu, odwiązał i wsiadłszy nań, puścił się przed siebie, nie dbając o to gdzie jedzie. Koń przywykły do tej drogi, i sądząc, że pan jego chce się udać do swej chaty leśnej, zniósł go sam z góry po stromej ścieżce.

Stary kapłan odetchnął wolniej, gdy się znalazł na dole, oddawna już ciężar wielki uciskał jego ducha; wszystkie nadzieje bowiem jego rozwiały się ostatecznie w tym czasie; i pragnął już spocząć wreszcie, ach, jak pragnął! Tam, za sobą, pozostawiał świat, na którym nie już dla niego nie istniało, a tu Świst-Poświst wzywał go, otwierając przed nim wrota z ognia, za którymi znajdowała się kraina wiecznej ciszy...

Starzec jechał, otoczony wyjąca puszcza; łoskoty piorunów wstrząsały górami aż do posad, lecz on nie zważał na to

i podążał coraz dalej i dalej. Koń co chwila płoszył się i rzucał, lecz szedł posłuszny.

Kapłanowi zdawało się, że ma skrzydła; burza ta upajała go i roskosz mu sprawiała; chciałby się być rzucić w jej objęcia, utonąć w niej.

Dokoła coraz większy huragan się srożył; Lel-Polel i Świst-Poświst królowali wspólnie nad drzącą i pokonaną puszcza.

Wreszcie ciemności jeszcze głębsze zapadły, kiedy obaj sprzymierzeni bogowie ostatni szturm przypuścili do osłupionej z trwogi puszczy; strumienie wody polały się z niebios i nie już widać nie było, bo żadne oko śmiertelne nie mogło znieść widoku, gdy bogowie stawiali stopę zwycięzką na pokonanym przeciwniku.

Nikt też nie wiedział co się stało z kapłanem Borunem; czy bóg jego unióśł go na skrzydłach, czy ogień niebieski go pochłoniął, czy wody pożarły? Trudno dociec, jedno tylko wiadomem było, to jest: że Świst-Poświst zgładził ze świata swego ostatniego kapłana...

XVI.

Gdy potoki opadły, Masław puścił się w dalszą drogę. Puszcza wprawdzie zawałoną była stosami drzew połamanych lub powyrywanych z korzeniem; na każdym kroku spotykało się całe jeziora wody deszczowej, lecz letnie słońce suszyło ziemię na otwartych miejscach.

Niekiedy podróżni natrafiali na zwłoki zwierząt leśnych lub zabitych ptaków; nie rzadko w wąwozie można było widzieć żubra lub łosia utopionego, którego porwała woda.

Masław jechał przed siebie zamyślony, nie mówiąc nic do pacholka, który podążał za nim, i w beczynności otrząsał krople deszczowe ze zwisłych gałęzi.

Nagle o uszy jadących obił się jakiś płacz. Płacz ten, który przechodził chwilami w zawodzenie, dochodził z najbliższych zarośli.

Masław wstrzymał konia, mówiąc do Wyrwidęba:

— Popatrz, co się tam dzieje?

Zanim jednak Wyrwidąb ruszył z miejsca, z zarośli wyszła niemłoda kobieta w białej namiotce, a za nią dziesięcioletnia może dziewczynka. Niewiasta zawodziła i zdawała się upadać pod ciężarem boleści.

— Nie płaczcie, matulu, pocieszało dziewczętko jak umiało, może Bóg da, że ją odnajdziemy.

— Oj nie najdziemy jej; nie najdziemy; serce mi mówi, że nie najdziemy! jęczała stara. Oj złotko moje, kochanie moje, toć ja ją karmiła, poila z rąk własnych!... Któż mi ją teraz powróci?

— Co wam to matko?— spytał Masław uderzony tą boleścią — może dziecko zgubiliście?

— Krowę, mój dobry panie, krowę co nas wszystkich karmiła! — odrzekła stara łyż ocierając płachtą. — A żebyście wiedzieli, jaka to była krowa?... Dwie ci je w pierw miałam, dwie jak dwoje oczu w głowie, tamtą zabrali mi ludzie knezia Mszczuzja, tę zabrała burza! O niedolo moja! co my pocznem biedni bez niej, z głodu chyba zamrzeć przyjdzie! A w chacie dzieci drobne, mój złoty panie! I łyż na nowo się polały.

Masławowi myśl jakaś błysnęła szybko, wydobyl dwie sztuki złota i dał je kobiecie.

— Macie za co kupić dwie takie krowy, jak tamta i pamiętajcie— dodał z dumą — że kiedy knez Mszczuzj lub inni mu podobni, rabują lud ubogi, u Masława zawsze on znajdzie pomoc i opiekę! I ruszył z miejsca.

— O niech was Bóg błogosławi, władko, kneziu wspomniały — wołała uszczęśliwiona niewiasta, ręce podnosząc ku niebu — niech wam ześle wstystko dobre, szczęście, dostatki i życie długie.

(d. c. n.)

NASZE RYCINY.

Mała muzykantka. Z prawdziwą przyjemnością dzielimy się z naszymi czytelnikami jednym ze ślicznych rysunków Grottgera, o którym pisaliśmy niedawno. Podziwiać w istocie należy, jak mistrz ten umiał doskonale ołówkiem swym przedstawić wyraz twarzy, uczucie i niemal myśli. Biedna mała muzykantka, choć zimno jej i głodno, choć ręce mdleją, grać musi na skrzypceczce, aby grosz jakiś dostać może dla chorej matki lub braciszka!

Ślub murzyński. Rycina pod tym tytułem nie potrzebuje dłuższego objaśnienia. Rzecz dzieje się w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej, przed urzędnikiem stanu cywilnego. Jakaś para murzyńska, należąca, jak widać ze strojów, do bardziej ucywilizowanych, zawiera śluby małżeńskie, a z wyrazu twarzy widać, że wspaniałość ich szat równie musi im być przyjemną, jak sama uroczystość.

Kolej balonowa. Tak chyba nazwać trzeba kolejkę górską, urządzoną w roku zeszłym koło Salcburga, w Austrii. Jest to właściwie komunikacja balonem, podrozni bowiem siedzą w koszu, uczepionym u spodu aerostatu, szyna zaś służy tylko do kierowania balonem, który uczepiony do małego wagoniku musi postępować linią wytkniętą. W górę wagonik idzie dzięki temu, że balon go ciągnie. Z powrotem tenże sam wagonik obciąża się kilku cestnarami wody, tak, że balon nie może oprzeć się jego ciężarowi, lecz hamuje zbyt szybki bieg. Spadek wagoniku, a więc i balonu regulować można z kosza, wypuszczając mniejszą lub większą ilość wody, stanowiącej tak zwany balast.

Sprawozdanie z konkursu robót ręcznych.

Wakacje, zabawy i rozrywki na świeżem powietrzu nie przeszkodziły czytelniczkom naszym poświęcić na wezwanie Redakcyi trochę czasu miłej i pożytecznej pracy; owocem jej są licznie nadesłane nam roboty, za co im serdecznie dziękujemy.

W corocznem ogłaszaniu tego konkursu dwa cele mamy na względzie, pierwszy: to rozwinięcie w młodych panienkach zamiłowania do igły, tak potrzebnego każdej kobiecie; drugi: przyjsięcie w pomoc ubogim dzieciom, dla których owe koszulki, sukienki i ciepłe kaftaniki lub spodniczki, z nadejściem pory zimowej, prawdziwem staną się dobrodziejstwem.

Rozpatrując roboty pod względem jakości, zauważyliśmy z małemi wyjątkami, szew prosty i równy w bieliźnie,

porządne wykończenie sukienek, a zwłaszcza wielką staranność w robotach włóczkowych.

Z przyjemnością zaznaczamy, że wszystkie panienki, biorące udział w konkursie, odpowiednio do wieku i umiejętności, okazały dużo dobrej chęci i robotkę swoją starały się wykończyć jak najlepiej.

Nagrody stosownie do zapowiedzi konkursu (w Nr-ze 26 Wieczorów) rozdzieliliśmy na 3 działy, w każdym dziale przy udzielaniu nagród zwracając uwagę przedewszystkiem na jakość, a następnie na wiek młodych pracowniczek.

I. W dziale *bielizny* (koszulki dzieciinne) nagrody otrzymują: Janina Łączyńska, Marya Jędrzejewicz, Stasia Popielówna (lat 5 mies. 10) i Halina Gimbutówna.

Na *pochwałę* zasłużyły: Steficia Królikowska, Maniusia Henikowska, Helenka Kaetzler, Mania Napiórkowska, Martyna Knabe, Marya Mrozowska, Karolina Olewińska, Alicya Bogdańska, Stasia Biskupska, Romana Pachucka.

II. W dziale *robót włóczkowych* na nagrody zasłużyły: Olga Niedźwiedzka, Irenka Płużańska, Ella Rzczekowska i Halka Hofmanówna: na *pochwałę*: Anna Łabuńska, Marya Barthel i Jania Bekerman.

III. W dziale *sukienek* których wiele bardzo przysłano, ilość nagród powiększamy z 4-eh do 7-miu. Nagrody otrzymują: Stefunia Bobowska, Jadzia Kulbacka, Marylka Sandomierzanka, Wanda Sandomierzanka, Nusia Popielówna, Zofia Moszyńska i Marya Zaleska; *pochwały* zaś: Halina Knabe, Jadzia Gadecka, Z. Kamińska, Mita Hofmanówna, Jadwiga Barthel, Jadwiga Trąbczyńska, Marya Sokółska, Helcia Sandomierzanka, Antonina Kuszelewska, Rozalia Jaworowska, Julcia z Gdańcówki, Wandzia Wołkówna, Hela Bobowska, Romana Gimbutówna, Hela Jaworowska, Felicya Roszkowska, Jadwinia Sandomierzanka, Marynia Biskupska, Helenka K. i Marya Jackowska.

Przysłane rzeczy w czasie przedświątecznym rozdamy w części Szpitalikowi dziecinnemu i Ochronce św. Pawła, w części zaś ubogim rodzinom znanym dobrze Redakcyi. Po odbiór książek, stanowiących nagrody, upraszamy o zgłoszenie się do Redakcyi „Wieczorów Rodzinnych” Mazowiecka Nr. 10, a zamieszkałych poza Warszawą o nadesłani 14 kop. markami na koszta przesyłki.

Niezależnie od nagród, panienkom które zasłużyły na pochwałę, Redakcyja ofiaruje małe kalendarzyki pamięciowe na rok 1899-ty.

☞ Czytelniczki Wieczorów, któreby chciały obejrzeć roboty swych rówieśniczek, proszone są uprzejmie o przybycie do lokalu Redakcyi w niedzielę dnia 13 b. m. między godziną 12-ą a 3-cią.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austrii kwartalnie zlr. 1 cent. 75 (3½ korony). — W Prusach: kwartalnie mar. 3.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Mała muzykantka (rycina). — Pierwsza robota panny Klementyny przez Z. Morawską. — O nieceniu ognia. — W obłokach i pod wodą, wyprawy „Latającej ryby,” opisał H. C. — Kolej balonowa (z ryc.) — Ślub Murzynów (z ryc.) — Obrońcy bogów, przez M. Łopuszańską. — Sprawozdanie z konkursu na roboty ręczne. — Dodatek: Piosnka myśliwego, wiersz (z ryc.) — Sen Reni. — U cioci Polci (z ryc.) — Dług wdzięczności, przez Zofię Rudnicką. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów.

Dodatek książkowy: Wspomnienia Haliny, przez Julię Piasecką.

Redaktorka Ludwika Hauke. Доводено Ценаурою. Варшава 26 Октября 1898 г. Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balińska.

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.

WIECZORY RODZINNE



PIOSNKA MYŚLIWEGO.

Już zmęczyło mię czytanie,
Czas odpocząć, czas,
Pójdę w las na polowanie,
Póde z fuzyą w las;
Więc broń biorę w dłoń,
Na bok teraz księgi,
Pif, paf, tra, la la,
Jam myśliwy tęgi.

Żwawo, śmiało przez gęstwiny
Za zwierzyną mknę!
Przez parowy, przez doliny,
Nic nie ujdzie mnie!
Więc broń biorę w dłoń,
Na bok teraz księgi,
Pif, paf, leży już,
Jam myśliwy tęgi.

Lecz gdy wilka ślepie błysną,
To nie szukam drogi,
A przez krzewy się przecisnę
I umykam w nogi.
Pif, paf, pif, paf!
Jam myśliwy tęgi.

Sen Reni.

Renia przygotowała już wszystkie lekcye na dzień następny. Wstała od stołu, zarzuconego książkami i kajetami i obejrzała się naokoło. Co ona będzie teraz robiła? Na zegarze wybiła szósta, do kolacyi jeszcze dwie godziny. Całe dwie godziny! I co ona pocnie z tym czasem? Tatuś pracował w swoim pokoju, Jadwinia, starsza siostra, grała na fortepianie, a mamusia nie wróciła jeszcze z lekcyi, niema więc nawet do kogo przemówić, bo stara Marcinowa porządkuje w kuchni i nie można jej przeszkadzać.

— Boże! jak ja się nudzę, żeby chociaż kto przyszedł, naprzykład ciocia ze Stefcią...

Ale goście nie przychodzili. Renia usiadła na kanapie i zamyśliła się smutnie.

Naraz usłyszała głos z pod stolika:

— Dziwię się tej dziewczynce, że się nudzi. Mogłaby przecie poukładać nas porządnie — mówił porzucony pod stolikiem kajet — porzrzuciła nas na wszystkie strony, ja naprzykład leżę na podłodze i wcale mi się to nie podoba. Na moich kartkach zapisane jest tyle pięknych francuskich słówek, że należałoby mi się odpowiedniejsze miejsce. A i moich braci nie lepszy los spotyka. Widzę, że jeden leży na łóżku, a drugi porzucony na komodzie.

Możnaby nas przecie złożyć razem na stoliku lub w szufladzie...

— I pokłaść świeżą bibułę, bo dawno już nie zmieniana — szeptał kajet, leżący na łóżku.

I nas możnaby poukładać w tornister, to jutro rano nie byłoby biegania i szukania po wszystkich kątach — mówiły małe i duże książki.

— Ta panna Renia to bardzo jest dziwna — mruzczały drobiazgi w szufladce — ponarzucala do szuflady rozmaitych rzeczy, że się nam trudno pomieścić. Czego tu niema! Szczoteczka do zębów leży pomiędzy wstążkami, mydło rozpiera się między stalkami i bawełną, a mała nieubrana laleczka przerażonym wzrokiem patrzy na wymierzone ku niej ostrze otwartego scyzoryka. Mogłaby się ta panna Renia wziąć trochę do porządku, ale ona woli siedzieć na kanapce i nudzić się.

— O tak! — westchnął bucik — gdyby uporządkowała szufladkę, toby tam pewno znalazła guziczki dla mnie. Oberwały mi się dziś aż dwa i jak ja teraz wyglądam? Trzebaby je przyszyć koniecznie.

— Mnie się zdaje — odezwał się gruby słownik — że panna Renia to się doczeka złego stopnia z porządku, bo wątpię, żeby nauczycielki były zbyt długo cierpliwe. Kajety z brudną bibułą, książki w nieświeży papier obłożone. Bardzo mi się to wszystko nie podoba i wątpię, czy Renia jest rzeczywiście tak dobrą uczennicą.

— O, przepraszam! — zawołał głośno dziennik ze stopniami — panna Renia uczy się doskonale, ja wiem o tem najlepiej. A że trochę w nieporządku utrzymuje swoje rzeczy... to źle zapewne, ale wiem, że się poprawi, bo zapłakałaby się chyba, gdyby mnie na pensyi zeszpecono dwójką z porządku...

— Dwójkę! nigdy! — zawołała Renia i... obudziła się nagle. Obejrzała się w koło. Więc ona spała, ale spała krótko, bo zegar wskazywał kilka minut po szóstej. Książki i kajety leżały na swoich miejscach i wcale nie zdradzały chęci do rozmowy. A jednak, co to nieprzyjemnych rzeczy naopowiadały podczas jej snu. Czy nie miały jednak słuszności? Dziewczynka spojrzała na porozrzucone rzeczy i westchnęła. Tak, miał słuszność i kajet pod stolikiem i książki rozrzucone, i bucik bez dwóch guziczków.

Rzeczywiście! Jak ona mogła się nudzić, kiedy ma jeszcze tyle do zrobienia! Przedewszystkiem obłoży kajety i książki w świeży papier, włoży nową bibułę. Ma przecież to wszystko w szufladce. A potem oddzieli książki potrzebne na jutro, żeby nie było tego wiecznego szukania rano, resztę schowa do stolika. Potem uporządkuje drugą szufladkę, gdzie leży mydło i książki, scyzoryk i nieszczęsna lalka.

I wtedy wszystko będzie w porządku...

— A prawda, jeszcze bucik.

I zaczęło się porządkowanie książek, kajetów, drobiazgów...

Gdy mama powróciła, zastała Renię zarumienioną, zajętą.

A gdy wybiła ósma i poproszono na herbatę, Renia przyszywała właśnie drugi guzik do bucika. Dnia tego poszła spać bardzo zadowolona, a jeżeli i później będzie

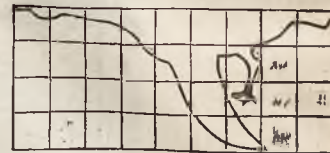
pamiętała o porządku, to dziennik ze stopniami może być zupełnie spokojny. Nie będzie w nim dwójki.

Zofia Kwiatkowska.

U cioci Polci.

— Dla czego? — spytał Henryś.

— Dla tego, że musicie poliniować papier w małe kwadraciki, to wam pomoże przy rysunku. Ja najpierw wyrysuję gęś a potem wy powtórzycie (fig. 25).



(fig. 25).

Zosia uznała, że to nie takie bardzo trudne, chociaż jej ptak nie taki był ładny jak Henrysia. Po skończonym rysunku wycięto go, pozaginano skrzydła i szyję i gaska stanęła na stole (fig. 26) ku wielkiej ucieście dzieci.

— Możnaby zawsze tak liniować papier przed zaczęciem rysunku — rzekła Zosia.

— Nie warto — odparł Henryś.

— Możecie zrobić bardzo pięknego psa, jeżeli poliniujecie papier. Odetnijcie kawałek papieru 5 cali długi i tyleż szeroki, złożcie go i podzielcie na 50 kwadracików poczem wyrysujecie podług mego wzoru (fig. 27) i potem wytnijcie uważnie, zagnijcie szyję, głowę a nie zapomnijcie o oczach (fig. 28).

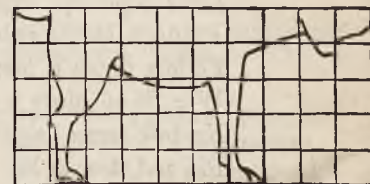


(fig. 26).

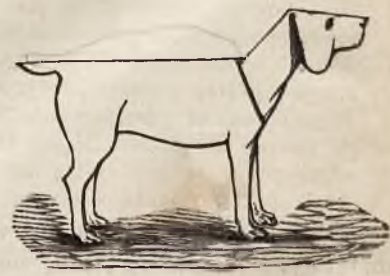
— Prześliczny pies — zawołał Henryś.

— Czy można wycinać także inne rzeczy, nietylko same zwierzęta? spytała Zosia.

— Wszystko można wyciąć co tylko wam się podoba — odrzekła ciocia — ale pamiętajcie zawsze, że jest o wiele łatwiej jak papier złożony jest we dwoje i jeśli się wytnie od razu dwie połowy.



(fig. 27).



(fig. 28).

— Niech każdy z was wyrysuje i wytnie jakiś przedmiot któryby się przydał naszym zwierzętom, a inni niech zgadują co to ma być — zaproponował Kazio.

— Doskonale — zawołał Henryś. — Jestem gotów.

— A ja będę zgadywała — rzekła Zosia. — Zamknę oczy, żeby nie widzieć co robicie.

— Ja pójdę tymczasem po bilety wizytowe — rzekła ciocia.

Ciocia wyszła, Zosia zamknęła oczy, a Henryś i Kazio wzięli się do roboty.

— Już zrobiłem — zawołał po jakimś czasie Kazio.

— I ja też — dodał Henryś, a gdy ciocia wróciła, zastała bardzo zabawnego, papierowego człowieczka, jadącego na słoniu, podczas gdy psy spoczywały w cieniu pięknego drzewa z bibuły. Ciocia Polcia aż klasnęła w ręce, a dzieci śmiały się uradowane.

— Przepysznie — zawołała ciocia. — Mały człowieczek bardzo pocieszny, ale drzewo jeszcze lepsze.

— Kto zrobił drzewo? — spytała Zosia.

Kazio zeskoczył z krzesła i ukłonił się cioci.

— Kazio zrobił drzewo — rzekł Henryś — bardzo ładne.

(d. c. n.)

DŁUG WYDZIĘCZNOŚCI

przez

Zosię Rudnicką.

(Dalszy ciąg)

Gałęzie tamaryksu zachwiały się — rozchyliły. Janek nie śmiał się poruszyć — obawiając się zdradzić swą obecność — może to pogoń za nim?.., w ciemności i przerażającej ciszy usłyszał oddech ludzki — ktoś go ujął za ramię i jednocześnie błysnęło mu przed oczyma blade i mdlawe światelko latarki. Ujrzał przed sobą Tatarą, który w milczeniu wziął go za rękę i gasząc światło pociągnął za sobą szorstko i jakby niecierpliwie. Poczeli spuszczać się z przykryj wysokości; przewodnik Janka nie odezwał się ani jednem słowem i szli tak w ciemności i milczeniu, czas jakiś, spuszczać się ciągle ku dołowi. Janek słuch wyteęzał, gdyż zdawało mu się, że słyszy jakieś szmery, które w tej nieprzebitej ciemności, w głuchem, pełnem grozy milczeniu wydawały mu się stłumionymi głosami ludzkiemi. Dokąd go wiedzie ten milczący i ponury przewodnik? Do wolności? czy do śmierci?

Szmery stawały się coraz głośniejsze i wyraźniejsze, i wkrótce Janek rozpoznał szum wody. Jak grom uderzyło go przypomnienie; słyszał, że tu przestępców topią w okrutny sposób, zawiązawszy ich pierwej w wór skórzanym... To los jego — utopi go ten Tatar — to nie jest syn tego, który mu wolność obiecał! Myśli te jak kamienie obezwładniły mu nogi, stanął, nie mógł postąpić. Tatar szarpnął go za rękę i popchnął tak silnie, że biedny Janek upadł na twarz. Lecz porwał się natychmiast, gdy przewodnik szepnął mu nad uchem: „Siebie i mnie zgubisz — niebawem dzień będzie.”

Poczeli już teraz biedz szybko, za chwilę poznał Janek po plusku wody, że stoją nad płynącą rzeką. Tatar puścił rękę Janka. Stój! — rzucił mu krótko, a sam poszedł brzegiem. Wiatr znowu na chwilę rozpedził chmury, i oczy Janka przywykłe w tych kilku godzinach do ciem-

ności, dojrzały, że przewodnik jego szuka czegoś... Jeszcze raz strach go przejął — może skórzanego worka?... Lecz Tatar szukał tylko czółna uciepionego do krzaków nadbrzeżnych. Za chwilę siedzieli w niem obaj i odbili od brzegu. Czółno popychane silną i wprawną ręką, płynęło szybko z biegiem wody, kierując się skośnie ku drugiemu brzegowi. Jankowi zdawało się, że płyną już niesłychanie długo; nie śmiał odezwać się słowem do uparcie milczącego towarzysza, ale gdyby mu kto był powiedział, że od chwili, gdy umknął z przed drzwi więziennych, godzina jeszcze nie upłynęła, byłby temu gorąco zaprzeczył.

Ach, w końcu przybiło czółno do brzegu! Tatar wyskoczył i Janka szarpnął za rękę; stanęli znowu na ziemi i teraz biedz oba zaczęli. Znowu jakieś odgłosy dochodzą do ucha Janka! To parskanie koni... Jankowi z radości serce jak ptak zatrzepotało w piersi... Dobiegli do gęstych zarośli i wolniejszym już krokiem przedzierali się przez krzaki i gałęzie. Wydostali się nareszcie na małą polankę, gdzie przy drzewie stały uwiązane dwa konie; Tatar zdjął z jednego jakiś zwitek, rzucił go Jankowi i kazał mu się przebrać. Janek nie pomyślał nawet, że był dotąd w łańcuchach niewolnika, teraz za to z radością i pospiechem przyodziewać się począł. Na głowę wcisnął mu przewodnik czapkę, zakrywającą mu prawie oczy. Kazał mu potem wsiąść na jednego z koni. Jakże biedny, mały więzień uczuł się szczęśliwym, znalazłszy się na wygodnem tatarskiem siodle, zdawało mu się, że mu skrzydła urosły u ramion — objął rękoma łeb zwierzęcia mającego go unieść z tej ziemi niewoli. Koń zadowolony widocznie ze swego jeźdźca, zarżał z radości, rozdał chrapy i pomknął za pierwszym, na którym już siedzący Tatar pędził drożyną dobrze sobie znaną.

Wkrótce wydostali się na czyste pole. Chmury pognały kędyś ku północy, rozwiały się, i jasny błękit południowego nieba zasiany migotliwymi gwiazdami, zajaśniał nad głowami mknących jeźdźców. Gdy świtać zaczęło, byli już daleko, — pogoni nie obawiał się Tatar, wiedział, że wysłana będzie w przeciwną stronę, w którą ucieczka mogła się wydawać łatwiejsza. Koń Janka w ciągu tej jazdy kilka razy odzywał się radosnem rżeniem, jak gdyby chciał dać poznać, że rad jest ze swego jeźdźca, ale któż opisze radość Janka, gdy przy świetle poranka poznał w nim... swego ulubionego wierzchowca, którego Tatarzy wraz z nim porwali! Od tej chwili uczucie niezmiernej radości i uspokojenia przejęło serce dzielnego chłopczyzny, który tyle przetrwał, tyle przecierpiał, a jednak nie stracił ufności w dobroć i opiekę Boską, modlił się gorąco i wierzył i czekał cierpliwie!

Po kilkudniowej bezustannej i szybkiej jeździe, bo zaledwie tyle zatrzymywali się, by konie popaść, napoić i sami pożywić się sucharami, które Tatar wioził w skórzanym worku przy siodle, nadjechali nad brzeg Dniestrowy. O radości, po drugiej stronie, już był kraj rodzinny Janka! — jego powietrze, jego słońce, świegot jego ptaków! A tam dalej — już niedaleko — już blisko, dziadek, matka, siostrzyczka — dom jego! Ach dom rodzinny!...

(d. c. n.)

ZAGADKA.

Ułożył Aleksander W.

Pierwsza z drugą za czyny każdego człowieka,
Gdy złe były, w tem życiu albo w przyszłym czeka.
Pierwsza z trzecią to Wschodu produkt dobrze znany,
I za napój codzienny u nas używany.
Druga z czwartą ból sprawia czy duża czy mała,
Czy moralna jest w sercu, czy broń ją zadała.
Wszystko zaś dąży śmiało wskroś pustyń piaszczystych,
Już to do krain obcych, już też do ojczystych.

ŁAMIGŁÓWKA W KWADRACIE.

p. Wichurę dla Słonia z Nubii.

W
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K
A
S
T
A
K